Paulina
KUZAWIŃSKA

Stare rody i drogocenne klejnoty kryją mroczne tajemnice...

DAMA
ZE SZMARAGDAMI

LIRA
WYDAWNICTWO

DAMA
ZE SZMARAGDAMI

Lira Publishing Sp. z o.o.
Wydanie pierwsze
Warszawa 2020
ISBN: 978-83-66503-08-3

Paulina
KUZAWIŃSKA

DAMA
ZE SZMARAGDAMI

LIRA
WYDAWNICTWO

Prolog

Kopałam coraz głębiej — w jednostajnym, opętańczym rytmie. Rozmiękła od deszczu ziemia ustępowała stosunkowo łatwo pod naciskiem moich słabych rąk.

Aż nagle stawiła mi opór, w ciemności natrafiłam na gładki kamień.

Sięgnęłam po kasetkę z naszyjnikiem i uniosłam jej wieko. Pięć oprawionych w złoto klejnotów zalśniło w odblasku błyskawicy jak oczy wielkiego pająka. Miałam złożyć je do dołka w ziemi… ale wówczas na jego dnie dostrzegłam czaszkę.

Odsłoniłam tylko jej przednią część — leżała zwrócona twarzą ku mnie. Oczodoły były pełne ziemi — przez jeden z nich przerastał korzeń. Pozbawiona dziąseł szczęka szczerzyła się drobnymi zębami, a wysklepione czoło, gładkie jak wielkie jajo, ukazywało nagą krzywiznę kości.

Odskoczyłam w tępym przerażeniu.

Poczułam, że ziemia osuwa mi się spod nóg — i to dosłownie…

1. Listy od przyjaciółki

10 marca 1898 roku, Dwór pod Cisami

Kochana Madeline!

Parę miesięcy minęło od mojego poprzedniego listu, a jeszcze więcej od naszego spotkania w Londynie tej zimy. Wiem, zaniedbywałam Cię ostatnio — ale wierzę, że wybaczysz mi przerwę w korespondencji, kiedy tylko podam Ci moje powody. Zresztą najważniejszy z nich już znasz: wychodzę za mąż!

Ludzie mówią, że wszystko przemija, ale ja wciąż jestem w Dereku zakochana tak samo jak w dniu naszego przyjęcia zaręczynowego, kiedy to widziałaś mnie, najdroższa Madeline, po raz ostatni. Od zrękowin zaszło w moim życiu wiele zmian. Wszystkie wiążą się z przygotowaniami do ślubu i do mojej nowej roli jako żony sir Dereka Verindera, któremu przypadł po ojcu hrabiowski tytuł.

Waga i zakres tych zmian oraz obowiązków, które spadają na mnie jako przyszłą hrabinę Verinder, mogłyby przytłoczyć niejedną dziewczynę mniej

zakochaną ode mnie. Nie piszę tego, kochana Madeline, aby narzekać — zwierzam Ci się jedynie jako przyjaciółce, której wiernemu przywiązaniu mogę powierzyć trapiące mnie troski. „Troski?" — zdziwisz się pewnie. „O jakie troski chodzi?". Czy coś może spędzać sen z powiek dziewczynie, która mimo pośledniego majątku i braku wybitnej urody zaręczyła się z dziedzicem szlacheckiego tytułu i spadkobiercą jednego z największych rodów Anglii?

A jednak nadchodzący ślub, nawet z ukochaną osobą, to dla przyszłej panny młodej powód do stresu i przyczyna napiętych nerwów. Bardzo chcę zadowolić rodzinę Dereka, a w szczególności obecną hrabinę Verinder, czyli moją przyszłą teściową. Jest to osoba niezwykle wymagająca i zapatrzona w wielkie tradycje rodu, którego częścią jest przez większość życia. Wiem, Madeline, że nie lubisz plotek — ale może i Ty słyszałaś, co szeptano ukradkiem już na zaręczynowym przyjęciu, a co zawiera sporą dozę prawdy. Podobno to właśnie hrabina przyczyniła się do zerwania poprzednich zaręczyn Dereka kilka lat temu i nie dopuściła do zawarcia przez syna małżeństwa. Nie wiem na pewno, jak duży był w tym jej udział, lecz taka sytuacja istotnie miała miejsce. Derek jest bardzo oddany matce i hrabina ma na niego duży wpływ. To jego poprzednia narzeczona zerwała ich związek, nie Derek, lecz podobno spełniła tym życzenie jego matki, której pieniądze posłużyły do zatuszowania skandalu… Spytasz, skąd to wiem. Od siostry narzeczonego, uroczego stworzenia imieniem Alice. Zresztą sam Derek uchylił mi rąbka tej smutnej

tajemnicy — nie chciał, by jakiekolwiek sekrety znalazły sobie miejsce między nami. Nieszczęście tamtego pierwszego narzeczeństwa przyniosło jednak obecne moje szczęście… Dlaczego więc są chwile, kiedy lękam się, by historia z przeszłości się nie powtórzyła?

Być może podobne myśli wynikają z mojego braku pewności siebie. Jak wiesz, Madeline, nigdy nie brylowałam na londyńskich salonach ani nawet nie pragnęłam zwracać na siebie nadmiernej uwagi przez moją wrodzoną nieśmiałość. Teraz, kiedy do ślubu z Derekiem pozostały zaledwie dwa miesiące i moje szczęście zdaje się na wyciągnięcie ręki, pragnę uszczęśliwiać ludzi wokół siebie i łatwo ulegam ich zachciankom. Dotyczy to w szczególności mojej przyszłej teściowej, którą jej pozycja, wiek i miejsce, jakie zajmuje w sercu syna, czynią obiektem mej troski jako przyszłej synowej. Jak już wspomniałam, z całego serca pragnę zaskarbić sobie jej przyjaźń i zyskać uznanie w jej oczach.

Za jej namową przeniosłam się do rodowej posiadłości Verinderów o nazwie Dwór pod Cisami. Dom mojej przyszłej teściowej to majestatyczna rezydencja licząca sobie ponad trzysta lat historii. Trudno wyrazić mi słowami piękno parku i przepych pałacowych wnętrz — a jednak, muszę to wyznać, jest w tym ogromnym domostwie coś, co niezmiernie mnie przytłacza. Czy chodzi o wyzywające wręcz bogactwo, do którego nie nawykłam, o portrety arystokratycznych przodków, którzy zdają się rzucać mi milczące wyzwanie, czy też o olbrzymie przestrzenie parku, które wzbudzają we mnie poczucie osamotnienia?

Do końca sama nie wiem, czemu tak się czuję. Derek wciąż jest przy mnie, czulszy niż kiedykolwiek, a jego młodsza siostra Alice okazuje mi sympatię i szacunek. Sądzę, że brakuje mi bratniej duszy, bardzo często myślę o Tobie, Madeline. Dlatego chciałabym spytać: czy nie zechciałabyś odwiedzić mnie tutaj, w Dworze pod Cisami? Do mojego ślubu z Derekiem zostały niecałe dwa miesiące i byłabym szczęśliwa, gdybyś do tego czasu mogła zamieszkać, jako mój gość, razem z nami. Oczywiście spytałam już o zgodę mojej przyszłej teściowej — wyraziła aprobatę, i to z radością! Zdaje mi się, że w ostatnich dniach jej zażyłość ze mną wzrasta. Wyobraź sobie moje zaskoczenie, kiedy oznajmiła, że pragnie już teraz ofiarować mi mój prezent ślubny. Właściwie to ma być prezent dla mnie i dla Dereka. „Co to takiego?" — zapytasz z pewnością z zaciekawieniem.

A więc… Chodzi o obraz. O olejny portret. Mój portret!

Hrabina Verinder postanowiła zatrudnić słynnego (podobno) malarza, żeby do czasu ślubu sporządził mój portret. Ale to nie wszystko! Hrabina jest bardzo ekscentryczna i… dość staromodna. Albo raczej przywiązana do dawnych tradycji. Bo co powiesz na to: mam pozować malarzowi w kosztownej sukni, którą matka Dereka sama nosiła za młodu. Moja przyszła teściowa przekazała mi również naszyjnik z oprawionych w złoto szmaragdów. Madeline, nigdy nie widziałam podobnych klejnotów! Powietrze skrzy się wokół nich, są takie piękne! Nie mogę się doczekać, żeby Ci je pokazać. Po ślubie, zgodnie z rodową

tradycją Verinderów, szmaragdy mają stać się moją własnością. Tymczasem mam zakładać je na sesje z malarzem. Zapomniałam dodać, że szmaragdy idealnie pasują kolorem do sukni — cudownej, staromodnej kreacji w intensywnie zielonym kolorze. Pochlebiam sobie, że pasują też do moich oczu, które, jak wiesz, są szarozielone.

Pisz do mnie, kochana! I pamiętaj o mym zaproszeniu! Dotąd przypuszczałam, że spotkamy się dopiero na moim ślubie, lecz jeśli zechcesz przyjechać i towarzyszyć mi w przygotowaniach do niego, uczynisz mnie najszczęśliwszą dziewczyną w całej Anglii.

Pozdrawiam Cię najserdeczniej.

Twoja zawsze oddana przyjaciółka

Claire Evans

* * *

21 marca 1898 roku, Dwór pod Cisami

Kochana Madeline!

Nawet nie wiesz, ile radości sprawił mi Twój list, a zwłaszcza zawarta w nim zapowiedź Twojego rychłego przyjazdu. Rozumiem, że musiałaś wstrzymać się z nim z powodu choroby Twojej gospodyni, ale teraz… Błagam Cię, przyjedź!

Potrzebuję Twojego towarzystwa, Twojej przyjaźni i Twojej życzliwej obecności jak chyba nigdy dotąd. Czuję, że pobyt tutaj źle na mnie wpływa. A może to tylko stres w związku z nadchodzącym ślubem? Dziwne myśli krążą mi po głowie. Mam wrażenie, że każdy mój ruch jest bacznie śledzony i poddawany nieustannej ocenie. Służba przypatruje mi się

i zapewne szepce za moimi plecami: czy ta nowa, młodziutka narzeczona lorda Dereka nadaje się na przyszłą hrabinę? Czy jej maniery przy stole nie są zanadto pospolite? A jej wygląd, czy nie nazbyt tuzinkowy i nijaki? Czy jej portret w zielonej sukni będzie prezentował się dość godnie w długim rzędzie podobizn kobiet noszących stare nazwisko Verinder i rodowy naszyjnik ze szmaragdami?

Pierwsze pozowanie malarzowi już za mną — jest to milczący, siwobrody jegomość, który wymaga ode mnie siedzenia w jednej pozycji przez długie chwile, w całkowitym bezruchu. Pozowanie męczy mnie i nuży — lecz czyż nie jest to niewielka niedogodność w zamian za uszczęśliwienie narzeczonego i jego matki?

Ach, Madeline, to napięcie związane ze ślubem niechybnie daje mi się we znaki! Jak wiesz, zawsze pragnęłam cichej ceremonii, skromnego kościoła i nielicznych gości drogich memu sercu, a także sercu mojego przyszłego małżonka. Wychodząc za Dereka, muszę nie tyle pójść na ustępstwa, co całkowicie pożegnać się z tą wizją… Jego matka nalega na ceremonię godną przyszłej hrabiowskiej pary. W trakcie posiłków przy stole toczą się rozmowy o każdym szczególe ślubu… Derek nie przejmuje się tym zanadto i radzi, bym postępowała tak samo — pobłażliwie traktując wszystkie ustalenia. Ja jednak nie jestem tak odporna jak on, nie mam równie silnego charakteru. Nerwowe napięcie, które nieustannie mi ostatnio towarzyszy, zdaje się mieć negatywny wpływ na moje zdrowie. Coraz częściej męczą mnie migreny,

miewam też silne zawroty głowy. Nie mam apetytu — jak gdyby mój żołądek zmienił się w ołowianą kulę.

Przybywaj, kochana Madeline, zanim popadnę w obłęd! Wiem, że przy Tobie niechybnie odzyskam spokój i znów będę cieszyć się niezmąconą radością z bycia żoną Dereka Verindera, co już za krótki czas ma się stać moim udziałem!

Wyczekuję Cię z niecierpliwością.

Twoja zawsze oddana przyjaciółka

Claire Evans

* * *

Pociąg turkotał po torach w jednostajnym rytmie, a cichy głosik w mojej głowie powtarzał słowa skreślone na czerpanym papierze przez moją drogą przyjaciółkę z dzieciństwa. Kolejne linijki tekstu przewijały się przed moimi oczyma jak lekko pofalowane tereny hrabstwa Surrey, które w tej chwili przypominały ciąg ruchomych obrazów, ożywionych za pomocą niezwykłego wynalazku ostatnich lat — kinematografu.

Mój wzrok, przez chwilę zwrócony za okno, spoczął znów na zapełnionych drobnym pismem kartach. Nawet bez przypatrywania się kształtowi liter zauważyłam wyraźną zmianę w sposobie, w jaki pisała Claire. Ruch pióra znamionował narastającą nerwowość, na którą skarżyła mi się w listach. Cieszyłam się, że wreszcie ją odwiedzę, gdyż naprawdę zaczynałam się o nią martwić. Lęki, obawy — cały ten niepokój, który tchnął ku mnie z zapisanych stron, niezauważalnie mi się udzielał.

Każdy kolejny list był krótszy i coraz bardziej niepodobny do nieśmiałej, lecz radosnej i zawsze szczerej Claire Evans,

z którą przyjaźniłam się od dziecka. Ostatnia wiadomość, jaką od niej otrzymałam, nadeszła na dzień przed mym wyjazdem z Torquay. Zawierała zaledwie kilka zdań:

Przyjeżdżaj szybko, Madeline! Wyczekuję Cię. Muszę Cię zobaczyć.

Claire

Razem z tym ostatnim, zdawkowym listem Claire przesłała mi podarunek: mały srebrny medalion z długim puklem jej miedzianozłotych włosów. Ten niespodziewany dowód niemal siostrzanego przywiązania wzruszył mnie, lecz również wzbudził moje zdziwienie. W zamyśleniu obracałam srebrny medalion w dłoniach. Miałyśmy spotkać się już lada chwila — dlaczego Claire przysłała mi pukiel swych włosów, zamiast ofiarować go osobiście? Taki podarunek otrzymany wprost z jej rąk uradowałby mnie jeszcze bardziej… Poza tym zwyczaj praktykowany między bliskimi przyjaciółmi lub kochankami chciał, by ofiarować pukiel włosów na pożegnanie — niczym drogie wspomnienie na wypadek rozłąki.

A przecież my najbliższy miesiąc miałyśmy spędzić razem…

Westchnęłam i lekko potrząsnęłam głową. *Przyjaźń bywa równie skomplikowana jak miłość* — pomyślałam. Może nie doceniałam siły przyjaźni, jaką żywiła wobec mnie Claire? Poczułam coś jak ukłucie wyrzutu sumienia. Każda młoda dama na moim miejscu zapewne po prostu ucieszyłaby się z niespodzianki i z tak serdecznego prezentu. Ja zaś, zamiast postąpić podobnie, doszukiwałam się ukrytych znaczeń tam, gdzie zapewne wcale ich nie było.

Zamknęłam miedziany pukiel w medalionie, który zawisł na mojej szyi obok innego wisiora, z którym nigdy się nie rozstawałam — kunsztownego srebrnego krzyża należącego kiedyś do pewnego mężczyzny… Odruchowo musnęłam kciukiem chłodny metal, a moje ciało przeszył dreszcz. Przed oczyma stanęła mi na moment pięknie wyrzeźbiona, naznaczona nieznikającym smutkiem twarz Gabriela. Pomyślałam, że coraz rzadziej pojawiała się w moich snach. W mych wspomnieniach stawała się coraz mniej wyraźna — jakby spowiły ją zasłony bladych mgieł. Biegnący czas zwracał oblicze ukochanego mężczyzny w stronę miejsca, do którego od początku przynależało — we władanie odwiecznej tajemnicy, w której rodzi się i w której znika wszelkie życie…

Z zadumy wyrwało mnie pukanie. Drzwi przedziału przesunęły się i ukazał się w nich zażywny konduktor w służbowym uniformie. Na mój widok uchylił czapki.

— Dojeżdżamy do Farnham, łaskawa pani.

Podziękowałam mu za informację. Poprawiłam na szyi medalion od Claire, sięgnęłam po tweedowy płaszcz i ogromny kapelusz ozdobiony strusimi piórami. Szybko przejrzałam się w podręcznym lusterku. Kwadrans później spowita w pióropusz dymu lokomotywa wtoczyła się na stację kolejową w Farnham. Konduktor osobiście pomógł mi uporać się z pękatą walizką, która stanowiła obecnie mój jedyny bagaż — podróżny kufer został wysłany przez Artura do Dworu pod Cisami kilka dni wcześniej. Kiedy walizka bezpiecznie spoczęła na platformie peronu, zaczęłam bacznie rozglądać się wokoło. Widok wciąż przesłaniały kłęby pary, która unosiła się wokół lokomotywy. Minuty mijały i wokół mnie grupki podróżnych zaczęły się gwałtownie przerzedzać. W końcu rozległ się ostry świst gwizdka parowego. Stalowe wiązary

łączące koła lokomotywy zadrgały, po czym poruszyły się z mozołem. Zaczęły wybijać jednostajny rytm, który z każdą chwilą nabierał tempa. Pociąg odjechał i zorientowałam się, że zostałam na stacji całkiem sama.

— Czy panna Madeline Hyde? — odezwał się nieznajomy głos. Jednocześnie ktoś lekko ujął mnie za łokieć. Odwróciłam się z pewnym przestrachem.

Przede mną, pośród gęstych kłębów pary stał przygarbiony mężczyzna, który ściskał w dłoni długi bat.

Gdyby nie krzaczasta, brunatna broda i wciśnięta aż na brwi filcowa czapka, jego twarz można by wziąć za twarz młodzieńca. Lśniły w niej niezwykłe oczy — kiedy padł na nie przebłysk wiosennego słońca, spostrzegłam, że są różnobarwne: jedno oko było ciemnobrązowe, drugie zaś złoto-zielone. Wrażenie młodości bijące z oblicza woźnicy boleśnie kontrastowało z jego starczą sylwetką. Mężczyzna miał krzywe, mocno pochylone plecy. Pod marynarką nad jego prawą łopatką wybrzuszał się, niczym rakowata narośl, masywny, sterczący garb.

— Mam zabrać panią do Dworu pod Cisami. Powóz czeka.

Kiedy woźnica sięgnął po mą walizkę, zauważyłam, że ma silne, zwinne dłonie. Nie były wprawdzie pomarszczone jak u starca, lecz pokrywały je wypryski i plamy. Ostatecznie w myślach orzekłam, że staruszek musiał prowadzić bardzo cnotliwe życie — stąd błysk młodości tlący się nadal w jego niezwykłych oczach.

Chwilę później brodaty mężczyzna pomógł mi wsiąść do eleganckiego powozu ze złoceniami, do którego zaprzęgnięto czwórkę koni. Mimowolnie przebiegło mi przez myśl, że hrabina Verinder przyjmuje gości z rozmachem. Nie wątpiłam, że to ona wysłała powóz — zapewne poczciwa Claire wybrałaby

raczej odkrytą bryczkę, z której swobodniej mogłabym podziwiać okolicę i czuć na twarzy miłą pieszczotę wiatru…

Konie ruszyły żwawym kłusem. Wtuliłam się w miękkie oparcie za plecami i przez szybkę chłonęłam nowe dla oka krajobrazy. Wszędzie pachniało nadchodzącą wiosną: wilgotną ziemią i młodą, świeżą roślinnością. Cały świat pokrywał się cudowną, intensywną zielenią. Słońce znowu wychynęło zza rozwianych, pierzastych chmur. W jego świetle wyrastające coraz wyżej na horyzoncie kredowe wzgórza North Downs, ciągnące się długim pasmem od Farnham na zachodzie aż po białe klify w Dover na wschodzie, przypominały mi lśniący wewnętrznym blaskiem sznur szmaragdów.

2. Dwór pod Cisami

Powóz zatrzymał się z chrzęstem kół na białym żwirze naprzeciw potężnych drzwi dworu o trzech kondygnacjach z szarego piaskowca.

Wstrzymałam oddech. To był najprawdziwszy zamek! Monumentalna fasada pięła się ku niebu kamienną stromizną na podobieństwo wrośniętego w ziemię menhiru, niewzruszonej upływem lat pamiątki po dawno zapomnianych plemionach… Od samej liczby błyszczących okien budowli zawirowało mi w głowie. Rozległe skrzydła były zwieńczone basztami przykrytymi przez miedziane hełmy, z ozdobnymi lukarnami i okrągłymi okienkami, nazywanymi z francuskiego „bawole oko".

Wyszłam z powozu i zadarłam głowę. Nad kamiennym portalem górował fronton wypełniony płaskorzeźbami, które onieśmielały swym rozmachem — grupa postaci, zaczerpniętych zapewne z mitologii, zdawała się wirować w dziwnym tańcu, a może raczej w chaosie rozgrywającej się między blokami kamienia bitwy.

Jak tylko konie się zatrzymały, pojawiło się dwóch lokajów w eleganckich liberiach — pierwszy zajął się moim bagażem, drugi zaś, skłoniwszy się głęboko, poprowadził mnie ku wejściu. Kołatka w kształcie mosiężnej wilczej głowy ukazywała arsenał błyszczących kłów, ale lokaj uchylił przede mną skrzydło grubych drzwi, ignorując groźną minę ich strażnika.

Moje obcasy zastukały na posadzce okrągłego holu, który przykryto kopułą z mlecznobiałego, zadymionego szkła. Ten dźwięk zabrzmiał jak uderzenia monety rzuconej na dno dawno wyschniętej studni. Miałam wrażenie, że nawet szelest mej sukni odbija się silnie rezonującym echem, po czym ginie gdzieś w przepastnych korytarzach domostwa, które wypełniają jego kamienne ciało niczym labirynt skomplikowanych arterii. Kiedy lokaj odebrał ode mnie płaszcz, postąpiłam kilka kroków naprzód. Z holu na prawo i lewo rozchodziły się długie amfilady pełnych przepychu salonów i saloników.

Ogarnął mnie zachwyt. Kasetonowe stropy, intarsjowane, antyczne meble z pociemniałego dębu, marmurowe kominki, mistrzowskie obrazy oraz werdiury z pięknie tkanymi scenami łowów przenosiły mnie w dostojną, zamierzchłą przeszłość…

— Czy to panna Madeline? — Ktoś wypowiedział moje imię.

Odwróciłam się. Ciągiem ozłoconych przez kapryśne słońce pomieszczeń sunął ku mnie młody mężczyzna w świetnie skrojonym, ciemnym garniturze, z jasnym fularem zawiązanym na szyi w modny węzeł. Rozpoznałam w nim narzeczonego Claire — młodego lorda Dereka Verindera, którego spotkałam po raz pierwszy w Londynie na ich zaręczynowym

przyjęciu. Wysoki i smukły, o ciemnych, wijących się włosach przygładzonych na skroniach odrobiną pomady, z daleka błyskał ku mnie dewizką kieszonkowego zegarka. Jego ruchy były sprężyste i pełne niewyszukanej, naturalnej gracji. W duchu musiałam stwierdzić to samo, co podczas owego przyjęcia — Derek Verinder podobałby się kobietom nawet bez swojego majątku oraz tytułu hrabiego.

Młody lord ujął mą dłoń i nachylił się ku niej, po czym zajrzał w moje oczy z uśmiechem. Spojrzenie jego złoto-zielonych, przejrzystych oczu było czyste i pełne przyjacielskiej serdeczności. Jeżeli miałabym dostrzec w nich cokolwiek innego, byłby to — być może — cień jakiejś romantycznej melancholii, którą zapewne każdy wrażliwy człowiek rozwinąłby w sobie, obcując co dnia z tyloma pamiątkami świetnej przeszłości.

— Lordzie Verinder…

— Proszę zwracać się do mnie po imieniu. — Derek lekko trącił smukłą dłonią powietrze, jak gdyby chciał odegnać ciężką aurę konwenansów, która otaczała go na co dzień. Na jego małym palcu błysnął złoty sygnet. — Czyż nie zostaliśmy sobie przedstawieni na zimowym przyjęciu w Londynie? Jest pani przyjaciółką Claire, a więc i moją — zapewnił.

— W takim razie proszę mi się odwzajemnić.

— Oczywiście, Madeline. — Uśmiechnął się. — Czy mogę zaproponować herbatę, a może kawę albo odrobinę wina? Na podorędziu mamy świetne francuskie roczniki… A podkuchenna właśnie przygotowuje podwieczorek. Jeśli chciałabyś przedtem chwilę wypocząć po podróży, twój pokój oczywiście czeka…

— Dziękuję, nie czuję się zmęczona. Podróż była wspaniała. Przez całą drogę ze stacji zachwycałam się tutejszą wiosną.

Woźnica powiedział, że celowo wybrał najbardziej malowniczą trasę, choć nadłożył przez to nieco drogi.

— Doprawdy? Jeżeli zatem nie nadwyrężyłaś sił, co powiesz na to, bym oprowadził cię po rezydencji?

— Bardzo chętnie — odparłam, mimowolnie rozglądając się wokoło. Przepych wnętrz nieodparcie mnie fascynował, ale i odrobinę przytłaczał. — Ale najpierw chciałabym przywitać się z Claire. — Byłam lekko zawiedziona, że przyjaciółka nie wyszła mi na spotkanie.

— Musisz jej wybaczyć — odparł Derek. — Powinna zjawić się za jakiś czas. Jeszcze nie skończyła pozować malarzowi. Mistrz pędzla wynajęty przez moją matkę przestrzega długości każdej sesji co do minuty. Cóż, chyba tacy właśnie są artyści… Claire pisała ci o portrecie?

— O tak! — Uśmiechnęłam się. — Portret w zielonej sukni! Obraz ma być prezentem ślubnym, prawda?

Poczułam się zaintrygowana. Listy Claire rozbudziły moją ciekawość co do tego tajemniczego portretu. Sam pomysł jego wykonania wydawał mi się szalenie romantyczny, poza tym, oczywiście, mile łechtał drzemiącą w każdej pannie nutkę kobiecej próżności. Która młoda dama nie zechciałaby zostać uwieczniona przez artystę, kiedy jej uroda jest w fazie największego rozkwitu, a ona sama przygotowuje się do niezapomnianego wydarzenia, jakim jest ślub?

— Nigdy nie oglądałam przy pracy zawodowego malarza. Czy nie mogłabym zajrzeć do Claire i przez chwilę jej poasystować? — spytałam z nadzieją. W jednym z listów Claire wspominała, że bardzo chce mi pokazać zabytkową zieloną suknię, a przede wszystkim naszyjnik ze szmaragdami, który ofiarowała jej przyszła teściowa. Pomyślałam, że ucieszy się, kiedy zrobię jej niespodziankę i ukradkiem wejdę do pokoju

zamienionego na pracownię. — Obiecuję, że będę zachowywać się cicho, żeby nie rozpraszać artysty — zapewniłam z niewinnym uśmiechem.

— Wykluczone! — odpowiedział nagle głos cichy jak świst wiatru, lecz nacechowany stanowczością. Odruchowo podążyłam za nim wzrokiem.

Po szerokich dębowych schodach z szelestem sukni schodziła ku nam kobieta w wieku lat pięćdziesięciu lub więcej. Jej kroki były niespieszne i płynne, i mimo wieku damy tak lekkie, że prawie nie słyszałam stukotu obcasów. Ich właścicielka zdawała się płynąć w powietrzu. Niezwykle elegancki krój jej sukni o barwie orzecha podkreślał doskonałą sylwetkę.

Ogon sukni ześlizgiwał się po kolejnych stopniach. Kiedy wytworna pani stanęła na ostatnim z nich, Derek podał jej ramię i pomógł pokonać odległość kroku, która dzieliła ją od posadzki.

— Matko, to nasz gość, panna Madeline Hyde. Madeline, oto moja matka, hrabina Georgiana Verinder, wdowa po lordzie Jamesie Verinderze.

— *Milady*. — Dygnęłam głęboko. — Czuję się zaszczycona.

Hrabina podała mi bladoróżową dłoń o wypielęgnowanych paznokciach. Jej miękki uścisk trwał odrobinę dłużej, niż się spodziewałam. Widać i ona, podobnie jak jej syn, pragnęła okazać mi swoją serdeczność.

— Proszę darować mi apodyktyczny ton — powiedziała, zaglądając mi w oczy spod ciężkich powiek, które przywodziły na myśl połówki bladych muszli, skrywające czarne perły źrenic. — Mam bardzo przesądny stosunek do niektórych spraw. Kawaler nie powinien oglądać portretu przyszłej panny młodej przed ślubem. Skutkiem może być nie tylko nieudany obraz, lecz przede wszystkim nieudana ceremonia.

Skinęłam głową z głębokim dygnięciem. Nie zamierzałam zaczynać mej wizyty we Dworze pod Cisami od wchodzenia w dyskusję z panią domu — nawet jeżeli w tej roli miała zastąpić ją niebawem moja najbliższa przyjaciółka…

— Skoro takie jest pani życzenie, *milady* — rzekłam cicho. Hrabina Verinder puściła moją dłoń.

— Ten obraz ma być niespodzianką — dodała, z przelotnym uśmiechem zerkając na syna, a ja pomyślałam, że w młodości musiała być przepiękną kobietą. Mimo zmarszczek wokół oczu i ust jej twarz wciąż odznaczała się klasycznymi proporcjami, zaś dumny profil przywodził na myśl marmurowe popiersia rzymskich matron. Grube włosy zwinięte na karku w ciężki węzeł skrzyły się w słońcu zaledwie kilkoma pasmami platynowej siwizny.

Przeszliśmy we trójkę do wielkiego, lecz zaskakująco przytulnego salonu pełnego antycznych mebli, kryształowych luster i obrazów w grubych złoconych ramach, które odcinały się na tle tapet ze skóry wytłaczanej w wijące się hipnotycznie geometryczne desenie. Nad kominkiem wisiał barwny poczet tarcz herbowych kolejnych hrabiów z rodu Verinderów, którzy zamieszkiwali ten zamek. Niebawem dwóch lokajów podało herbatę w maleńkich filiżankach oraz ciasta na srebrnej paterze.

Derek Verinder podjął wcześniej przerwany wątek. Chyba uważał za swój obowiązek zaprezentować mi zarówno zamek, jak i jego mieszkańców.

— Zapewne pamiętasz moją młodszą siostrę Alice? To osóbka, której nie da się zignorować — powiedział ze śmiechem. — Zobaczycie się przy kolacji o siódmej. Obawiam się, że teraz Alice…

— Teraz ta uparta dziewczyna ugania się konno po okolicznych wzgórzach, zapewne siedząc w siodle jak mężczyzna — wtrąciła cicho hrabina na poły z czułością, na poły z rozżaleniem. Z jej piersi wyrwało się głębokie westchnienie, jak gdyby szła na ustępstwo w obliczu nieszczęścia, któremu wcześniej wielokrotnie próbowała się już przeciwstawić. Następnie wyciągnęła dłoń do syna, żeby lekko poklepać go po ręku.

— Na szczęście mam jeszcze ciebie, Derek — rzekła cicho. — Z całego rodzeństwa właśnie ty odziedziczyłeś wszystko, co najlepsze.

Wsłuchując się w brzmienie tych słów, zaczęłam się zastanawiać, czy miała na myśli wyłącznie hrabiowski tytuł, czy też chodziło o coś więcej.

— Rodzeństwa? — podchwyciłam odruchowo i zaraz odrobinę się speszyłam. — Jest ktoś jeszcze oprócz Dereka i Alice? — zapytałam, nie kryjąc zaskoczenia.

— Mój młodszy brat, Dexter — odparł Derek i jakby spoważniał.

— Niestety nie pamiętam go — wyznałam, coraz bardziej zawstydzona własnym roztrzepaniem i nieuwagą. Gorączkowo przeszukiwałam głowę w poszukiwaniu umykających wspomnień z oszałamiającego rautu na cześć narzeczeńskiej pary, który odbył się tej zimy w Londynie. Na szczęście Derek szybko wyprowadził mnie z błędu.

— Nie możesz go pamiętać. Nie było go na przyjęciu.

— Ach tak… — zawiesiłam głos. Poczułam się mocno zaskoczona. Jakież powody mogły odwieść kogoś od uczestnictwa w przyjęciu zaręczynowym własnego brata? Czyżby pomiędzy dwoma synami hrabiny istniał jakiś żal albo rywalizacja?

— Tej zimy Dexter źle się czuł — wyjaśnił Derek. — Jest dość chorowity… To specyficzny człowiek. Jego również poznasz przy kolacji.

Hrabina spoglądała za okno złożone z zielonych, romboidalnych szybek zespolonych ołowiem. Na parapecie coś się poruszyło — nie wiedzieć kiedy na podłogę bezszelestnie niczym obłoczek sadzy zeskoczył czarny kot — sierść miał puszystą jak dym, a ślepia żółte jak siarka. *Lady* Verinder pogładziła go po trójkątnej głowie, po czym zmieniła temat.

— Pani pokojówka, panno Hyde…

— Proszę mi mówić: Madeline — przerwałam łagodnie. — I nie przyjechałam z pokojówką.

— Przyjechała pani bez pokojówki? Całkiem sama? — powtórzyła starsza dama, jak gdyby odnalazła pewną trudność w przyswojeniu sobie moich słów. — Przydzielę pani zatem osobistą pomoc. Na szczęście nie narzekamy na brak wykwalifikowanej służby — oświadczyła, po czym lekko się uśmiechnęła. — Widzę, że jest pani nowoczesną młodą damą. Zapewne popiera pani ruch sufrażystek? Ja również! — zapewniła z nieoczekiwaną wesołością. — Kiedy mieszka się w domu takim jak ten, łatwo zapomnieć, że czas płynie bez ustanku… Przypomina o tym tylko lustro. Jestem bardzo przywiązana do tradycji, lecz rozumiem potrzebę postępu. Gdyby nie postęp, zmienilibyśmy się w mumie. Stare rody, jak nasz, potrzebują świeżej krwi! — dodała i ścisnęła mnie za rękę. — A oto i powiew świeżości w tym domu! — zawołała na widok wchodzącej do salonu Claire.